

Oko za oko

I

Ludzie schodzili się do muzeum przy tarnogórkim rynku, aby uczestniczyć w otwarciu nietypowej wystawy. Nie miała ona nic wspólnego z Tarnowskimi Górami czy Śląskiem jako takim, a więc tematami, którym zazwyczaj poświęcano tamtejsze ekspozycje, niemniej jednak zapowiadała się intrygująco. Otóż muzeum sprowadziło do siebie na miesiąc część kolekcji Prinzhorna – zbioru dzieł autorstwa pacjentów niemieckich szpitali psychiatrycznych. Więcej konkretów nie podano, uciekając się raczej do enigmatycznych półsłówek, które miały zasugerować odbiorcy, że najlepiej by zrobił, gdyby przyszedł wysłuchać prelekcji otwierającej wystawę.

Z wiadomych względów wydarzenie nie przyciągnęło tłumów – przeciętny obywatel nie interesuje się zbytnio sztuką, tym bardziej tą abstrakcyjną. Aczkolwiek w sali renesansowej muzeum, gdzie miał odbyć się wykład, zgromadziło się całkiem sporo ludzi, wśród których nie zabrakło również przyjezdnych, takich jak pewien jegomość w żakiecie, który przybył tu podziwiać sztukę przez duże „Sz”. Miał wielkie oczekiwania względem wystawy i w myślach już układał wstęp do artykułu, który zamierzał jej poświęcić w czasopiśmie kulturalnym, z którym współpracował.

Niektórzy zebrani z niecierpliwością patrzyli na zegarki, gdyż minęła już godzina planowanego rozpoczęcia wykładu. Zanim jednak zdążyli dać wyraz swojemu zniesmaczeniu owym karygodnym opóźnieniem, z krzesła obok wystawionego pod ścianą ekranu projekcyjnego powstała kobieta w czarnej garsonce i zwróciła się do zgromadzonych.

- Witam państwa serdecznie. Nazywam się Aleksandra Maraczyńska i cieszę się, że mogę dzisiaj przybliżyć państwu unikatowy na skalę światową zbiór dzieł sztuki, jakim jest kolekcja Prinzhorna.

Kobieta kurtuazyjnie podziękowała muzeum za zaproszenie oraz dodała, że jest doktorem sztuki i pasjonatką psychologii, dlatego od dawna fascynuje się kolekcją, której poświęcona została wystawa. Z jej twarzy wyczytać można było entuzjazm typowy dla ludzi, którzy uwielbiają dzielić się swoją pasją w szerszym gronie.

Następnie włączono rzutnik i prelegentka przeszła do właściwego tematu wykładu. Nazwa zbioru wzięła się od niemieckiego psychiatry Hansa Prinzhorna, który na początku dwudziestego wieku kolekcjonował rysunki i obrazy stworzone przez pacjentów różnych instytucji psychiatrycznych na terenie Niemiec. Kolekcja obejmowała ponad pięć tysięcy dzieł, z których kilka ciekawszych zostało zaprezentowanych na ekranie i omówionych.

Przedstawione prace były bardzo rozmaite. Znajdowały się tam tyleż skomplikowane, co chaotyczne malowidła, ilustrujące fantastyczne, pozaziemskie krajobrazy, uwiecznione na płótnie za pomocą jaskrawych kolorów, które podkreślały osobliwość kompozycji. Inne z kolei ukazywały budzące niepokój portrety ludzi o wynaturzonych rysach twarzy oraz rysunki odrażających stworów niczym z najstraszliwszego bestiariusza. Jednak dużo z nich stanowiły najzwyczajniejsze, pospolite bazgroły, w których trudno było doszukać się jakiegokolwiek sensu.

- Proszę spojrzeć chociażby tutaj – powiedziała prelegentka, wskazując na pokracczny szkic, który wyglądał jak wzięty z marginesu szkolnego zeszytu. – Autor tego rysunku najwyraźniej uważał, że ktoś próbuje go kontrolować. Zwróćcie państwo uwagę na postać z dziwnym urządzeniem wystrzeliwującym wiązki promieni, czy może też kabli, które wczepiają się w drugą postać, prawdopodobnie autora, niczym sznurki przymocowane do marionetki.

- Fascynujące. Fascynujące! – wydukał z przejęciem pewien wąsaty pan.

Na to jegomość w żakiecie zmarszczył brwi i skrzywił się z wzdargą.

„Na pewno”, pomyślał. „Takie to dla ciebie fascynujące, że kiedy tylko stąd wyjdiesz, to będziesz głądził, jak to traciłeś czas na bohomyzy napaćkane przez czubków.”

Kobieta zaprezentowała jeszcze kilka dzieł, podobnych do omówionego przed chwilą szkicu i podobnie szkaradnych. Następnie krótko wspomniała, co działo się z kolekcją podczas wojny, kiedy musiała być ukrywana przed zniszczeniem na uniwersytecie w Heidelbergu, gdzie przechowywana jest do dziś. Na tym wykład zakończył się.

- Dziękuję państwu za uwagę. Zapraszam teraz do indywidualnego zapoznania się z wystawą. Znajdziecie tu państwo kilka dzieł, które omówiłam podczas wykładu, oraz wiele innych, których odbiór i interpretację zostawiam już wyłącznie państwu.

Śluchacze podziękowali za wykład krótkimi oklaskami, po czym wstali z miejsc, aby przejść do pomieszczeń, gdzie znajdowała się wystawa. Zanim opuścili salę renesansową, Maraczyńska rzuciła jeszcze:

- Gdyby mieli państwo jakiegokolwiek pytania, naturalnie pozostaję do państwa dyspozycji.

Ludzie rozeszli się po muzeum i zaczęli oglądać prace wystawione w gablotach. Ich reakcje były tak różne, jak same dzieła – niektórzy wydawali się faktycznie zaintrygowani, kilkoro na głos wyrażało swoje obrzydzenie, a jeszcze inni zachwycali się nimi tak ewidentnie na pokaz, jak mogą to robić wyłącznie osobistości prawdziwie małostkowe i zadufane w sobie.

Podobnie jak wcześniej pan z wąsem, ci ostatni również nie umknęli uwadze jegomościa w żakiecie.

- Bufony i pozerzy – burknął pod nosem.

Starał się ich zignorować i zamiast tego skupić na eksponatach. Przeglądał je po kolei, próbując odgadnąć, coż też ich autorzy mogli chcieć przez nie przekazać i jakie choroby ducha mogły ich skłonić do przelania swoich fantazmatów na płótno w tak upiornej postaci. Abstrahując od ich wartości artystycznej, gdyż ta często była znikoma, niektóre z rysunków dawały do myślenia – stanowiły pewnego rodzaju okno, które pozwalało spojrzeć na świat oczyma czystego szaleństwa.

Może właśnie dlatego szczególnie zaabsorbował go szkic ogromnej pary oczu, widniejący na pożółkłym papierze. Gdy przyjrzał mu się bliżej, zaciekawiło go, że jego poszczególne elementy były raczej napisane, niżli narysowane, gdyż twórca nakreślił je przy pomocy zaaranżowanych na różne sposoby liter i znaków. Wiły się one spiralnie po kartce, często ustawione do góry nogami lub zniekształcone, aby lepiej pasować do rysunku, tworząc ostatecznie niebywale szczegółowy obraz, na który składały się powieki, tęczęwki, źrenice, a nawet żyłki, rzęsy i brwi. Całość sprawiała wrażenie, jakby oczy te pozostawały w nieustannym ruchu i wpatrywały się w odbiorcę.

Mężczyzna był tak zafascynowany rysunkiem, że nie zauważył nawet, kiedy podeszła do niego doktor Maraczyńska.

- Widzę – zagaiła – że spodobała się panu moja ulubiona część całej kolekcji.

- Owszem.

- Proszę zauważyć – kontynuowała – jak autor używa słowa pisanego w porównaniu do innych dzieł, które mamy na wystawie. Komentarze lub przekazy tekstowe pojawiają się w nich nader często, jednak bardziej w formie chaotycznej pisaniny, jakby pacjenci chcieli w ten sposób zakomunikować myśli i wizje, których nie byli w stanie zobrazować.

- Za to tutaj tekst służy jako podstawowe narzędzie kompozycyjne – odparł. – Spotkałem się już kilka razy z takimi zabiegami w mojej pracy.

- Otóż to. A czym, jeśli można spytać, się pan zajmuje?

- Pasjonuję się kaligrafią i często też o niej piszę. Zapewne słyszała o mnie pani, bo moje teksty drukują w wielu czasopismach.

Kobieta zmieszana się.

- Musiałabym najpierw poznać pana godność – rzekła.

- Akurat nic by to pani nie powiedziało, bo piszę pod pseudonimem. Na pewno nieraz czytała pani artykuł opatrzony literami „N.N.” – otóż „Niżej Niepodpisany” stoi właśnie przed panią.

Wyraz twarzy prelegentki mówił wszystko o rozpoznawalności pseudonimu pana N.N., a raczej jej braku, co zraniło nieco jego poczucie własnej godności.

- No proszę – rzuciła pokrótce i uśmiechnęła się tajemniczo. – Dostyc ciekawy zbieg okoliczności, bo ten rysunek również moglibyśmy podpisać takimi literami. Przypuszczam, że jego autor był artystą w pełnym tego słowa znaczeniu, lecz niestety nic o nim nie wiemy, tak jak i o wielu innych, których dzieła Prinzhorn włączył do swojej kolekcji. A ile ja bym dała, żeby poznać chociażby samo imię tego człowieka!

Maraczyńska westchnęła i pokręciła głową. Następnie jeszcze raz zwróciła uwagę mężczyzny na dzieło, wodząc palcem wzdłuż spiralnych linii szkicu.

- Jeśli popatrzy pan tutaj, w sam środek, i przyjrzy się źrenicom...

N.N. wbił wzrok w rysunek i znów się w nim zatracił. Kobieta mówiła coś do niego, gestykulowała, zadawała pytania, ale jej słowa docierały do niego jak z oddali, zniekształcone i niezrozumiałe, a jej ruchy stały się rozmyte. Widział tylko palec wiodący po spiralach i ogromne oczy, które wpatrywały się w niego i próbowały mu coś przekazać. Skargę? Oskarżenie? Prośbę? Były tak realistyczne i przemawiała przez nie wola tak silna, że najchętniej uciekłby jak najdalej przed ich spojrzeniem.

- ...ot, kolejna z wielu zagadek dotyczących tego tajemniczego zbioru – Maraczyńska wycofała dłoń i przyjrzała się N.N. Zmarszczyła brwi na widok jego pobladłej twarzy i strużki potu, ciekącej po czole. – Wszystko w porządku? Może chce pan się napić wody?

Mężczyzna otrząsnął się, przetarł oczy dłonią i odetchnął głęboko.

- Dziękuję, zamyśliłem się tylko. Wie pani, sztuka już tak na mnie działa; czasem potrafię znaleźć w niej ukryte przekazy, których inni nie są w stanie dostrzec.

Schowwał ręce za plecami, wyprostował się i kontynuował, nie przemawiając już do nikogo konkretnego.

- Myślę, że to kwestia większej wrażliwości. A może i obycia, że tak pozwolę sobie nieskromnie stwierdzić.

Prelegentka spojrzała na niego krzywo, czy to z zainteresowaniem, czy z wątpliwością, po czym skinęła głową.

- Cieszę się zatem, że doświadczył pan takich doznań właśnie na naszej wystawie. Ale też nie dziwię się. Sama odnoszę wrażenie, że w tym szkicu kryje się więcej, niż widać gołym okiem.

Po tych słowach odeszła, aby zająć się innymi zwiedzającymi.

N.N. tymczasem zmusił się do oderwania wzroku od szkicu i kontynuował przeglądanie reszty wystawy, jednak żadne z dzieł nie wywarło już na nim takiego wrażenia. Kiedy obejrzał już wszystkie eksponaty, postanowił również przejść się po innych częściach muzeum i sprawdzić stałe zbiory. Wprawdzie kiedyś już się z nimi zapoznał, ale było to dawno temu, więc stwierdził, że może je sobie przy okazji odświeżyć.

Gdy przechodził między poszczególnymi salami, powoli wracały do niego wspomnienia. Zbiór poświęcony lokalnemu górnictwu, nieśmiertelna wystawa z Sobieskim i husarskim rynsztunkiem, ekspozycja historyczna przedstawiająca dzieje Tarnowskich Gór. Tak, wszystko to wydawało się bardzo... bliskie i znajome. W sekcji poświęconej powstaniom śląskim jego uwagę przykuł znajdujący się w gablocie sztandar – czerwony, z białym orłem w koronie i patriotyczną dewizą. Był to być może jedyny eksponat, którego obecności w muzeum nie mógł sobie przypomnieć, toteż ucieszył się, że podczas swojej wędrówki ścieżkami pamięci przyszło mu znaleźć coś nowego.

Kiedy wrócił do sali renesansowej, okazało się, że reszta zwiedzających opuściła już muzeum. Postanowił zatem ostatni raz pobieżnie spojrzeć na wystawione dzieła z kolekcji

Prinzhorna, po czym w milczeniu skierował się do wyjścia, nie posławszy pracownikom muzeum ani słowa pożegnania, jakby nawet nie odnotował ich obecności.

II

Nazajutrz obudził się potwornie zmęczony. Całą noc przewracał się niespokojnie z boku na bok, bo za każdym razem, gdy zmorzył go sen, natychmiast nachodziły go koszmary, w których prześladował go szkic oczu narysowanych tajemniczymi znakami. Nieustannie wpatrywały się w niego gdzieś z ciemności i ani na chwilę nie pozwalały odpocząć, gdyż ich przenikliwe spojrzenie przynosiło wszechogarniające poczucie zagrożenia.

Nie przypuszczał, że rysunek wryje mu się aż tak głęboko w pamięć. Może podświadomość chciała mu w ten sposób zakomunikować, że coś mu umknęło, gdy oglądał go poprzedniego dnia. Jako że nie mógł dopuścić do tego, aby jego sprawozdanie z wystawy okazało się niekompletne, postanowił udać się ponownie do muzeum i spojrzeć na dzieło jeszcze raz. A przynajmniej taki powód próbował sobie wmówić, gdyż w głębi duszy obawiał się, że tymczasowa fascynacja mogłaby się przerodzić w obsesję, gdyby nie została zduszona w zarodku.

Bez apetytu zjadł śniadanie, bardziej dla zasady niż z potrzeby, wziął krótki prysznic, założył na siebie wczorajsze ubranie i, wyszedłszy z mieszkania, szybkim krokiem poszedł na dworzec kolejowy, by złapać najbliższy pociąg do Tarnowskich Gór. W czasie podróży był tak zamyślony, że minęła mu ona niemal w mgnieniu oka, do tego stopnia, że kiedy dotarł na rynek i przekroczył drzwi domu Sedlaczka, poczuł się, jakby od wczoraj nawet go nie opuścił.

Minął przejście prowadzące do restauracji na parterze i udał się po schodach na piętro. W połowie zakręcały one w prawo, zaś na szczycie kończyły się drzwiami do muzeum, wprawionymi zaraz za ostatnim stopniem – aż skojarzyły mu się z typowymi dla tanich filmów grozy wejściami na strych, które znaleźć można było w każdym nawiedzonym domu. Zaśmiał się w duchu i pomyślał, że dla dopełniania obrazu po drugiej stronie drzwi powinien zastać murowaną ścianę czy też rozwarte wrota piekieł.

Dlatego poczuł się w pewnym stopniu rozczarowany, gdy po naciśnięciu klamki owe wrota w ogóle się nie otwały. Rozczarowanie szybko przeszło jednak w oburzenie, kiedy dotarło do niego, że muzeum jeszcze nie zostało udostępnione zwiedzającym.

- Aż bym im powiedział, co myślę o takim lenistwie – mruknął pod nosem.

Po chwili uśmiechnął się szelmowsko, bo pomysł bardzo mu się spodobał. Wyciągnął telefon i wybrał numer do muzeum, który widniał na drzwiach. Odczekał kilka sygnałów, aż po drugiej stronie ktoś bez słowa podniósł słuchawkę.

- Dzień dobry, chciałbym złożyć skargę – rzucił z satysfakcją.

Nie otrzymał odpowiedzi.

- Muzeum powinno być otwarte już od kwadransa – kontynuował. – Tymczasem stoję przed zamkniętymi drzwiami jak kołek, a dodam, że mam bardzo ważną sprawę do załatwienia. Jego rozmówca wciąż milczał.

- Halo? Słyszysz mnie ktoś? – warknął.

Tym razem odpowiedź jednak nadeszła.

- Ktoś? Nikt – powiedział cichy, szepczący głos przypominający coś między westchnieniem a syknięciem.

- Co to za żarty, do diabła? – krzyknął mężczyzna. – Jeśli nie chcecie, żebym was obsmarował w prasie, to niech tu lepiej zaraz ktoś przyjdzie i mnie wpuści do środka.

- Kiedy ja trafiłem do środka – odparł głos – już nigdy więcej stamtąd nie wyszedłem.

N.N. odsunął telefon od ucha, żeby sprawdzić, czy na pewno wybrał właściwy numer. Zdziwił się, kiedy przeczytał informację o przekierowaniu rozmowy do nieznanego odbiorcy, i czym prędzej przerwał połączenie. Zazgrzytał zębami na myśl, że coś jest nie tak z jego

telefonem, po czym z gniewem wbił oczy w zamknięte drzwi. Sfrustrowany, wymierzył im solidnego kopniaka, a widząc, że i to nie przynosi skutków, ostatecznie poddał się i zszedł do restauracji, żeby zasięgnąć języka i spróbować dowiedzieć się, dlaczego muzeum było zamknięte.

Kiedy wszedł do lokalu, zaskoczyło go, że pomimo wczesnej pory niemal wszystkie stoliki były zajęte. Niemniej, choć w „Sedlaczku” przesiadywało mnóstwo gości, panowała tam osobiwa cisza. Mężczyzna przeszedł do baru, żeby porozmawiać z kimś z obsługi, lecz za ladą nie zastał nikogo i nikt też nie wyszedł z zaplecza, żeby się nim zainteresować, nawet po kilku dłuższych chwilach oczekiwania. Miał wrażenie, jakby całe miasto sprzysięgło się, żeby nie zwracać na niego uwagi, co tylko potęgowało narastającą w nim stopniowo irytację.

Odwrócił się od baru i zawołał do siedzących w restauracji ludzi.

- Przepraszam bardzo, czy może ktoś z państwa wie...

Lecz przerwał w pół zdania, gdyż coś wydało mu się nie w porządku. Dopiero teraz, kiedy rozejrzał się po sali, zauważył, że goście siedzieli przy niezastawionych stołach i wpatrywali się w niego nieruchomo. Ponadto wszyscy, co do jednego, ubrani byli w stroje wieczorowe, a oczy skrywali za ciemnymi okularami. Patrząc po ich twarzach, zdał sobie sprawę, że większość z nich pamięta z prelekcji, która miała miejsce poprzedniego dnia.

- Oczekiwaliśmy pana – powiedziała beznamyślnie dama w kapeluszu.

- Cieszymy się, że tak wybitny znawca sztuki raczył zaszczyścić nas swoją obecnością – kontynuował wychudzony człowiek na drugim końcu sali.

- I w dodatku prosi nas, bufonów i pozerów – wtrącił dżentelmen z sumiastym wąsem – o odpowiedź na dręczące go pytania.

Mężczyzna oniemiał, usłyszawszy takie powitanie. Lecz zanim mógł odnaleźć się w nowej sytuacji, jego uszu doszło dzwonienie, rozbrzmiewające z rogu jadalni. Siedziała tam doktor Maraczyńska i głośno mieszała łyżeczką w porcelanowej filiżance. Gdy ich spojrzenia się spotkały – a przynajmniej tak można było przypuszczać, bo jej oczy również ukryte były za ciemnymi szklami – uśmiechnęła się.

- Wygląda pan na zagubionego – powiedziała, po czym wskazała na puste krzesło przy swoim stoliku. – Proszę usiąść, mamy wiele spraw do omówienia.

Widząc jego wahanie, dodała jeszcze:

- Nikt panu nie robi krzywdy. Obecni tu państwo może sprawiają wrażenie nieprzyjemnych, ale nasze własne wątpliwości i osądy często takie bywają. Szczególnie, kiedy przyjdzie nam się z nimi zmierzyć.

Choć nie potrafił wytłumaczyć dlaczego, N.N. wiedział, że kobieta mówi prawdę – czuł się osaczony, ale nie zagrożony. Ruszył niepewnie w kierunku jej stolika, podczas gdy inni z uwagą śledzili każdy jego krok, obracając powoli głowy, kiedy ich mijał, i przyprawiając go o dreszcze.

- Patrzcie państwo, jaki ważniak.

- Taki ważny, a tak się boi.

- Bo w głębi siebie dobrze wie, że jest nikim.

Szyderczy chór towarzyszył mu przez całą drogę, nabierając mocy i tempa, aż kolejne wypowiedzi zlały się w jeden niezrozumiały potok słów. Było to raptem kilka kroków, ale N.N. przypominało raczej maraton, a do stolika w kącie dotarł zlany potem. Usiadł, zacisnął wargi i z wyczekiwaniem spojrzał na Maraczyńską.

- Przyszedł pan obejrzeć szkic – stwierdziła.

- Owszem – odparł.

- Te bohomyzy napaćkane na marginesie zeszytu – wtrącił się ktoś.

Kobieta skinęła głową, wypila łyk kawy i odstawiała filiżankę na stół.

- Przypuszczałam, że tak się stanie. Już na wystawie zauważyłam, że urzekł on pana tak, jak niegdyś i mnie.

- Jak mówiłem wcześniej, sztuka tak na mnie działa – N.N. skrzyżował ręce na piersi. – Czy mogę w takim razie wejść do muzeum? Powiem szczerze, że czuję się tu nieswojo i wolałbym już sobie pójść.

- Jeszcze tylko słowo z panem zamienię i będzie pan wolny.

Zastukała palcami o blat.

- Wie pan, próbowałam wszystkiego, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o tym rysunku. Ale wszystkie moje starania spełzły na niczym.

- Po autorze nie pozostał żaden ślad? – spytał.

- Po tym czubku! – rzucił jeden z gości.

- Zupełnie żaden – odparła. – I niezbyt mnie to dziwi. Cudem jest już fakt, że cała kolekcja nie została zniszczona jako „sztuka wynaturzona”. Niestety, chociaż same dzieła uniknęły unicestwienia, tego samego nie można powiedzieć o ich twórcach.

Maraczyńska wzdrygnęła się. Po chwili kontynuowała.

- Twierdzi pan, że dostrzega pan w sztuce rzeczy niewidzialne dla innych. Być może tak jest, w końcu jako krytyk widzi pan więcej.

Wtedy kobieta powoli zdjęła okulary i wbiła w N.N. wzrok, który zmroził go do szpiku kości. Spod ciemnych brwi spoglądały na niego spowite mleczną mgłą oczy ślepeca.

- Jednak obawiam się – ciągnęła – że choć spojrzenie ma pan jasne, jak wielu krytyków jest pan w pewien sposób zaślepiony przez własne ego i ta ociemniałość sprawia, że pewne oczywiste aspekty panu umykają.

- Proszę przejść do rzeczy – przerwał jej mężczyzna.

Przez moment wpatrywała się w niego bez wyrazu. Następnie sięgnęła do torebki i wyciągnęła z niej prosty klucz, który położyła na stoliku.

- Czasem mówi się, że twórcy pozostawiają w swoich dziełach cząstki samych siebie. Niech pan pamięta o tym, idąc do muzeum, a znajdzie pan tam szkic i może nawet coś więcej.

N.N. powstał szybko z krzesła, żeby wreszcie opuścić upiorne zgromadzenie. Jednak zanim skierował się do wyjścia, naszała go jeszcze jedna myśl.

- Mówi pani, że po twórcach, których dzieła znalazły się w kolekcji, w dużej mierze nic nie zostało. Ale czy nie można powiedzieć, że przynajmniej tymi dziełami zapewnili sobie pewną nieśmiertelność?

- Też mi pociecha – prychnęła. – Proszę sobie wyobrazić, że nie zostaje po panu nawet imię, które można by przypisać do pańskiego opus magnum. Czy to naprawdę nieśmiertelność? Czy może raczej limbo?

- Są tacy, którzy postulują śmierć autora.

Maraczyńska zmarszczyła czoło.

- Myślę jednak, że sam autor wolałby nie umrzeć zapomniany.

Mężczyzna rozważał przez chwilę jej stwierdzenie, lecz nie potrafił znaleźć odpowiedzi, która mogłaby je podważyć. Wyszedł zatem w milczeniu z restauracji, nie usłyszawszy też ani słowa od pozostałych w środku ludzi, jakby nawet nie był już wart ich szyderstw.

Wszedł po schodach na piętro i stanął znowu przed drzwiami muzeum. Dziwne wydarzenia tego dnia zasiały w jego duszy niepokój, ale musiał spojrzeć na rysunek jeszcze raz – czuł tę potrzebę całym swoim jestestwem. Drżącą ręką wsadził klucz do zamka, przekręcił go, nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Widok, który zastał po drugiej stronie, wprowadził go w osłupienie. Rozglądając się po pomieszczeniu wejściowym, stwierdził, że jest ono opustoszałe, wręcz opuszczone. Nie paliła się ani jedna lampa, z gablot wyciągnięto wszystkie eksponaty, a w sąsiedniej sali renesansowej okna zabite były deskami, spomiędzy których przez szczeliny przezierały nikłe promienie słońca padające na zbutwiałą podłogę i eksponujące taneczne ruchy drobin kurzu, które unosiły się w stęchłym powietrzu.

Jednak pomimo otaczającej go pustki, mężczyzna bynajmniej nie czuł się sam. Ze zdwojoną siłą powrócił do niego lęk przed ukrytym prześladowcą obserwującym go gdzieś na skraju pola widzenia, który odczuwał całą noc w swoich koszmarach. Strużki potu ściekały mu po plecach, wsiąkając w koszulę i przyprowadzając go o dreszcze.

Wyciągnął telefon z kieszeni, żeby włączyć latarkę i rozejrzał się dokładnie po najbliższych pomieszczeniach. Nie znalazł tam nikogo, ani nawet niczego – każde z osobna było tak samo opustoszałe, jak sala wejściowa. Nie przyniosło mu to jednak ukojenia, gdyż wciąż czuł się obserwowany. Wziął kilka głębokich wdechów, żeby się uspokoić, po czym skierował się na lewo od wejścia, do sali zarezerwowanej dla wystaw tymczasowych, gdzie jeszcze wczoraj wisiał szkic, którego szukał. Niestety pomieszczenie to również stało puste, a dalsze przejście, opadające łagodnie po niskich schodkach, zasypane było gruzem ze stropu, który wyglądał, jakby zawalił się tutaj już dobre ćwierć wieku temu. Dalsza droga była niedostępna, a ciężkie zwały drewna i tynku nie dopuszczały za siebie nawet światła, dzięki któremu można by spojrzeć na drugą stronę.

N.N. cieszył się, że nie musi przekopywać się przez zaporę, jeśli w ogóle było to możliwe, gdyż mógł obejść ją dookoła przez sale z wystawami stałymi. A musiał to zrobić, bo czuł, że szkic gdzieś tu jest i wiedział, że nie może wyjść dopóty, dopóki go nie znajdzie.

Odwrócił się na pięcie i stanął jak wryty. Wydawało mu się, że w otaczających go przeszlonych gablotach mignęło odbicie jakiejś postaci, która powielona w każdej szybie i w każdym refleksie świetlnym przybrała wrażenie osaczającej go armii ciemności. Wizja minęła jednak tak nagle, jak nadeszła. Próbując otrząsnąć się z szoku, ruszył znów w głąb zrujnowanego muzeum, niepewnie stawiając krok za krokiem.

Przeszedł przez salę renesansową, gdzie po wystawie malarstwa przetrwały jedynie puste i zaśniedziałe ramy obrazów, wiszące krzywo na ścianach. Jedna z nich opadła z łoskotem na podłogę, akurat kiedy ją mijał, sprawiwszy, że podskoczył ze strachu. Następne pomieszczenie, kiedyś zawierające ekspozycję o górnictwie, zostało doszczętnie opróżnione lub nawet i splądrowane – podłogę usłane było ostrymi odłamkami szkła z roztrzaskanych gablot, po których mężczyzna stąpał z wyjątkową ostrożnością. Przesząpił dalej przez kotarę ze zgniłego aksamitu do sekcji poświęconej Sobieskiemu i znalazł się w mrocznej komnacie, spowitej ciemnością jak całunem. Mrok panujący w pomieszczeniu był absolutny, niemal zawieszony w powietrzu i namacalny, tłumiący nawet światło latarki. A w głębi tego czarnego tumanu czaiło się Coś. Niewidzialny, nieostrzegalny prześladowca, który postępował krok w krok za ogarnianym coraz większym niepokojem przybyszem. Mężczyzna przywarł do ściany i skradał się wzdłuż niej na ślepo, aż dotarł do wyjścia, zasłoniętego kolejną kotarą. Prędko wypadł na drugą stronę i teraz już biegiem, dysząc ciężko, puścił się wzdłuż rozpadającego się korytarza, gdzie zgniłozielone pnącza i czarna pleśń wyrastały z popękanych ścian. Wtedy trafił do części historycznej.

Jedynie tutaj znajdowały się jeszcze eksponaty, chociaż różniły się one od tych, które muzeum miało w swoim standardowym zbiorze. Po bokach, w niszach gdzie zwykle wisiały szaty liturgiczne pochodzące z lokalnych kościołów, teraz oglądać można było poźółkły fartuch lekarski i kaftan bezpieczeństwa, a w jeszcze innej prezentował się złowrogi mundur SS-mański. Pośrodku zaś, w wielkiej gablocie sięgającej od podłogi do stropu, zamiast drewnianego ołtarzyka domowego ku przybyszowi zwrócona była makieta upiornej, gotyckiej budowli o foremnym kształcie i strzelistej wieży.

Targany dziwną ciekawością, mężczyzna obszedł centralną gablotę, żeby zobaczyć, co znajduje się po jej drugiej stronie, w miejscu, gdzie jeszcze wczoraj wystawione były pamiątki z powstań śląskich. Teraz zastał tam jedynie rozwieszony sztandar, lecz nie przedstawiał on białego orła na czerwonym tle. Ten był kruczcoczarny z wyhaftowaną pośrodku białą czaszką. Na niej zaś osadzone było źródło lęków, które towarzyszyły mężczyźnie od poprzedniego dnia – szkic oczu z kolekcji Prinzhorna. Co gorsza, kiedy stanął przed nimi i zaczął się w nie

wpatrywać, te zamrugały powiekami, a chaotyczne litery tworzące kompozycję nagle zawirowały i ułożyły się w ciągły tekst, który wybrzmiał N.N. w głowie jak kakofonia. Oszołomiony, krzyknął w przerażeniu, zakrył uszy dłońmi i zamknął oczy, żeby odciąć się od wszystkiego wokół, a w szczególności od straszliwego szkicu. Upadł na kolana, zagryzł zęby i prosił w duchu, żeby ten koszmar wreszcie się skończył.

Gdy opadła go ciemność, a widzieć już mógł jedynie oczyma wyobraźni, wtedy nareszcie zobaczył swojego gnębiiciela. Pojawił się w jego umyśle w całej okazałości, wyraźniejszy, prawdziwszy niż cokolwiek, co mógłby postrzec zmysłami. Widział mroczną, bezkształtną istotę, okoloną szarymi konturami, które nie potrafiły, lub nie chciały, przybrać konkretnej postaci, lecz kłębiły się wokół niej niczym aura bezbarwnych płomieni. Ciało widziadła nie wykazywało się żadnymi stałymi cechami oprócz dwóch białych ogników, żarzących się pośrodku jego twarzy.

- Kim jesteś? – spytał N.N. drżącym głosem.

- Nikim – odparła zjawą. – Nie jestem jeszcze gotów, by być kimś.

Kontury wokół postaci zawirowały gwałtownie, a ogniki w miejscach oczu na chwilę zaiskrzyły.

- Zamordowali mnie, zanim mogłem stać się kimś – dodała.

Niezależnie od tego, czy upiór mówił, czy też nie, w głowie mężczyzny wciąż rozbrzmiewał bełkot zapisany na szkicu, zasypując go gradem słów w nieznanym języku, wypowiedzianych z prędkością karabinu maszynowego, które jak igły wbijały się w jego mózg.

- Ale czego ode mnie chcesz? – wrzasnął.

Odpowiedź nadeszła po chwili, która wydawała się trwać wieczność.

- Żebyś mnie dokończył.

N.N. starał się skoncentrować na zjawie i znaleźć jakikolwiek sens w jej słowach, podczas gdy nieprzerwana, chaotyczna mowa rezonująca w jego głowie spychała go coraz głębiej w objęcia szaleństwa.

I wtedy zrozumiał.

Otworzył oczy i powoli skierował spojrzenie na szkic, żeby się upewnić. I zrozumiał wszystko.

Wstał, złapał równowagę, gdyż nogi wciąż mu drżały, a błędnik wariował od słowotoku zalewającego jego myśli, i uśmiechnął się, bo wiedział dokładnie, co musiał zrobić. Wizja postaci uleciała z jego umysłu, bełkot ucichł i zmienił się w służące poradę podszepty, zaś świat dookoła zawężił się wyłącznie do kartki papieru zawieszanej na trupiej czaszce. Silnym kopniakiem roztrzaskał gablotę i sięgnął do środka, kalecząc nadgarstek o rozbite szkło, ale i na to już nie zważał. W broczącej krwią dłoni trzymał szkic, a drugą wyciągnął długopis z kieszeni marynarki.

Nareszcie dotarło do niego, dlaczego rysunek cały czas nie dawał mu spokoju. Był po prostu niedokończony i akurat na niego padł obowiązek jego uzupełnienia. Przygryzł końcówkę długopisu, skoncentrował się na głosach w swojej głowie, po czym z zapamiętaniem zabrał się do dzieła, zerkając od czasu do czasu na swoje odbicie w zniszczonej gablocie.

III

Kiedy przyjechała policja, kilku mężczyzn wciąż szarpało się z rzucającym się w szale jegomościem w zakiecie. Krzycząc coś niezrozumiale w kierunku rozbitej gabloty ze szkicem, szalencie próbował oswobodzić spływającą krwią rękę, podczas gdy drugą niebezpiecznie wymachiwał długopisem, jakby miał nim zaraz wyłupić komuś oko. Jeden z funkcjonariuszy natychmiast go obezwładnił, zaś drugi z niemałym zdziwieniem spytał zgromadzonych, co właściwie przed chwilą się wydarzyło. Z początku odpowiedziały mu tylko wstrząśnięte wyrazy twarzy i wzruszenia ramionami. Po chwili dopiero odezwała się doktor Maraczyńska.

- Akurat otwarliśmy w muzeum wystawę. Zauważyłam, że ten pan zainteresował się jednym z dzieł, moim ulubionym zresztą, więc chciałam mu o nim trochę opowiedzieć. Kiedy rozmawialiśmy, nagle wrzasnął opętańczo, rozbił gablotę i sięgnął do środka po eksponat – wszystko działo się tak szybko, że sama aż osłupiałam i mogłam się tylko przyglądać. Na szczęście reakcja innych gości chyba powstrzymała go przed wyrządzeniem dziełu szkód, za co jestem im bardzo wdzięczna.

- To na pewno jakiś wariat – wtrącił się pan z wydatnym wąsem. – Mało to dzisiaj takich?

Policjant spojrzął na niego z politowaniem, potrząsnął głową, po czym zwrócił się ku jegomościowi trzymanemu przez swojego kolegę – ślina ściekała szaleńcowi z ust, a jego wzrok, pełen obłędu, cały czas skupiony był na feralnym rysunku. Funkcjonariusz nie mógł pozbyć się wrażenia, że równie dobrze mogli z nim od razu pojechać na niskie domki.

Mundurowi pouczyli Maraczyńską, żeby na drugi dzień stawiała się na komisariacie i jeszcze raz dokładnie opisała wszystko, co zaszło. Następnie w dwójkę wyprowadzili mężczyznę z muzeum, podczas gdy ten nieustannie coś bredził – wydawało się, że częściowo po polsku, a częściowo po niemiecku. Ciekawskie spojrzenia ludzi odprowadziły ich do samych drzwi, a kiedy radiowóz odjechał, w muzeum zapanowała konsternacja. Większość gości straciła zainteresowanie wystawą, a z ich twarzy można było wyczytać, że woleli już raczej wrócić do domów, żeby obdzwonić znajomych i opowiedzieć im o dziwnym incydencie. Prędko zapomnieli o tym, co usłyszeli na prelekcji, a wszelka myśl o pokracznych dziełach, które jeszcze przed chwilą oglądali, bardzo szybko uleciała im z głów.

Wkrótce w muzeum została tylko opiekunka wystawy. Lecz zanim i ona opuściła budynek, najpierw dokładnie przyjrzała się szkicowi w strzaskanej gablocie, jakby czegoś na nim szukała. I faktycznie, zauważyła na nim nowe kreski, wykonane niebieskim długopisem, wyróżniające się na tle reszty rysunku stworzonego przy pomocy ołówka. Głęboko w żrenicach dostrzegła zaś dwa odbicia ludzkiej twarzy, naniesione z ogromną precyzją pomimo ich niewielkiego rozmiaru. W końcu pod rysunkiem znalazła kilka koślawych liter, których wcześniej tam nie było – podpis wyjawiający tożsamość autora; litery, które układały się nie w inicjały, ale w pełne, niemieckobrzmiące imię i nazwisko.

Maraczyńska skinęła głową z satysfakcją.